

K. SŁOWIK

Plut. K. Słowik

Zostałem rozbrojony w Kowlu 22 września 1939 r. i wywieziony wraz z innymi do Szepietówki. Obiecywali, że rozpuszczą nas i każdy powróci w swoje strony. Mówili, że wszyscy Sowietci są tej myśli, że wojny z Polską nie prowadzili i nie mają prawa nas uważać za jeńców wojennych. A więc władze sowieckie [co innego] mówiły, a co innego robiły. W Szepietówce zebrali nas, Polaków, kilka tysięcy. Pokarm dzienny: dawali 400 g chleba, jedną małą kostkę cukru i pół litra zupy, tak że ludzie wymęczeni, zgłodniali, dostawali zawrotów głowy i padali jak muchy. Zabrano nam brzytwy, obrączki ślubne, w ogóle kto co miał, to mu przy rewizji zabierano. Spanie było na betonie. Po paru dniach męczarni sowieckiej w Szepietówce i ich dobroci, czyli nocnych kochanych [nieczytelne], to [był] dopiero początek mej męczarni w kraju proletariackim. Zebrali nas parę setek i zaczęli pieszo gnać jak skazańców z Szepietówki w stronę Polski, o głódzie i chłódzie. Dziennie robiliśmy 40 km, tak że podostawaliśmy ran i pęcherzy na nogach. A kto nie mógł iść, tego brali na bok, a tam to już wiadomo, że go na tamten świat wysyłali, tylko słyhać było strzały. Noc, kiedy przyszła, to obstawili [nas] psami, karabinami maszynowymi i *bojcami* i powiadali, [że ten,] kto się oddali, [dostanie] kulę w łeb. Za swoją potrzebą kto musiał wyjść, ten musiał tam się załatwić, gdzie spał, bo był rozkaz nie oddalać się.

Jak przybyliśmy do Ostroga, zakwaterowali nas w koszarach 10 Pułku. Byliśmy strasznie zmęczeni, nogi [mieliśmy] popuchnięte, na nogach rany i pęcherze, [panował] głód szalony i chłód. Ludność cywilna chciała nam dostarczyć żywność przez parkan, ale Sowietci w żaden sposób nie chcieli ich dopuścić, twierdzili, że mamy jedzenia dosyć. Ludność polska nie chciała [im] wierzyć [i] jak mogła, tak nam [żywność] dostarczała. Smutny to był okres, kiedy szliśmy przez Ostróg, kiedy nas ludność opłakiwała, a my głodni i zmęczeni kroczyliśmy. Pamiętam jak dziś, kiedy Sowietci zastrzelili dwóch naszych, którzy przeszli przez parkan, aby się pożywić. Straszne to były czasy.

Po paru dniach wywieźli [nas] pociągami do Zahorc [?], zapędzili nas do majątku. Tam były wielkie stajnie, ułożyli [nas] tak, że jeden koło drugiego spał jak śledzie w beczce, jednym słowem gorzej niż bydlaki. Ogrodzili [nas] drutem, psami, *bojcam*i szczelnie obstawili. Po paru dniach rzuciło się [na nas] robactwo, [tak] że każdy z nas garściami zbierał wszy. A władze sowieckie zawsze mówiły, że w niedługim czasie byt nasz się polepszy.

Zaczęli nas gnać do pracy od wschodu słońca do zachodu. Urządzili trzy kotły, kto mógł wyrobić [normę], [ten] dostał trzeci kocioł, czyli zupę na kościach i 600 g chleba. Ale takich było bardzo mało. Pierwszy kocioł to był śledź i zupa, czyli pomyje, i 400 g chleba. I tak się o tym długo żyło, bo człowiek nie miał siły zarobić na trzeci kocioł, za wysoka była norma. W ten sposób zmuszali ludzi do pracy. Modlić się nam nie dawali, w święta gнали do pracy, o Polsce nie pozwalali nic mówić, wieczorami politrucy opowiadali, że Polski nie będzie, a co robimy, to dla siebie, bo w przyszłości będziemy obywatelami sowieckimi. Kto nie chciał tych bzdur słuchać, tego zamykali do karca i głodem morzyli. Jak sobie człowiek przypomni, to przykre chwile były.

2 lutego 1940 r. 500 [brak] wywieźli do Brodów, tam nas ulokowano w zamku hrabiny Czyżewskiej. Było nas ok. dwóch tysięcy, tam zaczęła się niedola i niewola. Gnano nas do pracy bez wytchnienia, modlić się zabronili, o Polsce nic nie wolno było mówić, głodem zmuszali do pracy, po karcach trzymali na trochę masę ludzi. Kiedy gнали, to na czas, tak że gdy pierwsza czwórka szła, to przystawiali brauling [browning], [mówili] że zabiją, jeżeli prędzej nie będziemy szli. Gdy z naszych ktoś odpowiedział, żeby dali jeść, puścili nas do domu, bo my z nimi wojny nie prowadziliśmy, odpowiedź była taka, że się wędrowało do karca i na głodówkę. Sporo z naszych Polaków w Brodach zmarło.

8 maja 1941 r. dwustu wyjechało do Stawek k. Tarnopola. Tam nas goniono do pracy na dwie zmiany: dzienną i nocną. Pracowaliśmy od 7.00 rano do 19.00. Wyżywienie [było] marne, lecznictwo opłakane. 22 czerwca 1941 r. Niemcy zaczęli wojnę z Sowietami, a my znaleźliśmy się w jeszcze gorszych warunkach. Po paru dniach gнали nas w stronę Rosji pieszo. Kto nie mógł iść, [tego] brali na bok, a tam już na pewno go odsyłali na tamten świat. Browningi przystawiali do głowy [temu], kto nie chciał iść. Nie [było] zrozumienia, że człowiek jest wycieńczony, zgłódniały. Oni nie zważali, tylko gonili, tak że kilkanaście kilometrów szliśmy w opłakanym stanie. Na terenie rosyjskim ludność cywilna chciała dać [nam] wody, *bojce* im mówili, że to ich wrogowie, nie warto nam dawać wody. Ale ludność jak mogła, tak nam podawała wodę, chociaż

niejeden z naszych życiem to przypłacił. Nocowaliśmy po lasach, polach parę godzin, silnie obstawieni przez psy i *bojców*. Tak doszliśmy do Złotonoszy, stamtąd [pojechaliśmy] pociągami do Starobielska, gdzie w sierpniu 1941 r. zaczęła się organizować armia polska, do której natychmiast wstąpiłem.